

Autor: **Celebrimbor**
Pre-reading: ---
Korekta: **Celebrimbor**

UPIÓR

[Violence] [Adventure] [Dark]

NA DRODZE DONIKĄD

Przypadam do ziemi, segmentowe odnóże rozcina powietrze w miejscu gdzie ułamek sekundy temu znajdowała się moja głowa. Turlam się w bok, potężne, ostre jak brzytwa żuwaczki zamiast przeciąć mnie na pół, zamykają się na pustce. Zrywam się na nogi, wyszarpuję z pochwy Valannora. Terkotnik spogląda na mnie, potrząsa łbem, poruszające się z niewyobrażalną prędkością żuwaczki wydają z siebie głuchy terkot – stąd też nazwa ich dumnego właściciela. Terkotnik podnosi przednią parę gruzłowatych odnóży i nie spuszcza mnie z oczu czyści aparat gębowy. Ten niespodziewany akt higieny osobistej ze strony insektoida wyglądającego jak przerośnięta hybryda pająka i larwy Pływaka Żółto-brzeżka chyba ma za zadanie uświadomić mi, że Terkotnik nie uważa mnie za realne zagrożenie. Niespecjalnie chce mi się mu udowadniać, że jest inaczej. Chitynowy pancerz blado połyskuje w świetle popołudniowego słońca, gdy stwór rusza na mnie wydając swój charakterystyczny dźwięk. Ostrze głucho dzwięczy w zetknięciu z segmentowymi odnóżami, Terkotnik próbuje mnie obdarzyć koszmarną, śmiercionośną karykaturą uścisku, nurkuję pod tułowiem stwora i tnę głęboko, prosto w odwłok. Gniewne terkotanie przybiera na sile, uświadamiam sobie, że mój cios nie wyrządził potworowi prawie żadnych szkód, co gorsza, jeszcze bardziej go rozjuszył. Ponownie blokuję cios Terkotnika, uchylam się przed żuwaczkami, strzelam upiornym błyskiem. Terkotnik zaczyna miotać się oślepiony, właśnie kupiłem sobie parę sekund. Chowam się za pobliskie martwe drzewo, przykładam ostrze do kopyta, zamykam oczy i szybkim ruchem rozcinam skórę. Nie zważając na piekący ból, przy pomocy telekinezy formuję, powoli wypływającą z rany krew, w kulę. Szybciej, szybciej, szybciej! Zanim odzyska wzrok! Ukradkiem wyglądam zza osłony, Terkotnik zajęty jest rozpieprzaniem pobliskich drzew. Stawonóg miota się, terkocze, bije na oślep, roznosząc w drzazgi spróchniałe pnie, ale jego ruchy stopniowo się uspokajają, widocznie zaczyna odzyskiwać wzrok. Magią zamykam na szybko ranę, podnoszę się i wysyłam krwawy pocisk w kierunku głazu za rozjuszonym potworem. Krew z chlupotem rozbija się o powierzchnię skały, stwór odwraca łeb w kierunku dźwięku i odczekawszy chwilę, zmierza w jego stronę. Widzę jak obmacuje czułkami zachlapaną powierzchnię. Badając źródło dźwięku, wypadam zza osłony i ile sił w nogach pędzę w kierunku odwróconego plecami do mnie insektoida. Wskakuję oszołomionej bestii na grzbiet, biorę zamach i uderzam w łączenie łba z resztą ciała. Miecz powinien gładko pokonać opór tkanek i dekapitować Terkotnika, ale bydlak okazuje się cwańszy niż sądziłem. Odnóżem blokuje ostrze, potężnym wierzgnięciem zrzuca mnie na ziemię, słyszę wyraźne chrupnięcie, bok zaczyna ciągnąć tępy ból.

Miecz zaklinował się w łączeniu segmentów, z powstałej rany sączy się gęsta, brudnożółta hemolimfa. Z trudem gramolę się na nogi, zataczając się, strzelam zaklęciem. Czar chybia stawonoga i uderza w zachlapaną moją krwią głaz, rozsadzając go i zasypując okolicę odłamkami. Terkotnik błyskawicznie dociera do mnie, próbuję odskoczyć, ale insektoid łapie mnie i więzi w potężnym uścisku krzywych, jak pałak od wiadra, odnóży. Bestia zniża łeb, mogę zajrzeć w jej pełne złośliwej inteligencji

oczy. Tkwiąca między segmentami rękojeść Valannora sterczy na wyciągnięcie ręki. No dalej, na co czekasz bydlaku? Kiedy rozwiera żuwaczki, zamykam oczy i uderzam zaklęciem burzącym. Wiązka sinoniebieskiego światła uderza prosto w odsłonięty otwór gębowy stawonoga, napotyka opór tkanek, po czym rozładowuje swoją energię kinetyczną, tworząc czasową jamę pulsacyjną. Wszystko dzieje się zbyt szybko, abym mógł zobaczyć którykolwiek z tych procesów, niemniej zabawne jest, jak mózg wytwarza ich dosyć poprawną iluzję. Zaklęcie wyrывa w łbie insektoida pokaźny kawałek ciała razem z jedną z żuwaczek. Powinien po tym po prostu oklapnąć na ziemię, ale niestety, stwora nie interesują moje przekonania medyczne – puszcza mnie i zaczyna miotać się wydając z siebie wizg bólu. Składam się do kolejnego zaklęcia, ale rezygnuję – Terkotnik rzuca się coraz słabiej, aż w końcu opada na ziemię zanosząc się drgawkami. Powoli podchodzi do trzęsącego się w konwulsjach cielska. Z rozerwanego na pół łba sączy się hemolimfa. Taa... jednak otwarty układ krwionośny ma swoje zasadnicze wady.

Łapię za rękojeść miecza, Valannor z obrzydliwym chrupnięciem wyskakuje pomiędzy segmentów. Z obrzydzeniem wycieram ostrze o trawę starając się usunąć z niego brudnożółtą, cuchnącą maź. Kiedy chowam broń do pochwy, zaczynają mi drżeć kolana. Padam na ziemię, nie mogę dłużej powstrzymać odruchu wymiotnego, rzygam jak kot. Jak tak dalej pójdzie to nie lokalna fauna mnie wykończy, ale z odwodnienia padnę. Niby dzięki upiorowi nie muszę jeść ani pić, ale... ale no. Odczołguję się od wymiocin, ocieram usta, dyszę ciężko. Cholera, może i względnie miecz wyczyściłem, ale zapach się utrzyma jak nic, pasowało by spirytusem, czy czymś... no tak, skąd ja tutaj wezmę spirytus? Skąd ja tutaj wezmę cokolwiek? Jestem w miejscu, w którym jedyne co można łatwo uzyskać, jest śmierć. Najczęściej bolesna i powolna, chociaż niektórzy oferują jej bardziej przystępne formy, jak na przykład leżący nieopodal Terkotnik. „Jelito Equestrii” – tak pogardliwie nazywają to miejsce. Obszar o promieniu około pięćdziesięciu kilometrów co prawda oficjalnie znajduje się w granicach państwa Celestii i Luny, ale jakoś nikt nie pcha się do jego zasiedlania. Poprawka, nikt JUŻ się nie pcha. Zbyt wyraźnie widziałem ze szczytu podmieńczej wieży granicznej mającej w oddali zabudowania, żeby nadal wierzyć w oficjalne raporty.

„Osiem tysięcy kilometrów kwadratowych bagien, lasów i uroczysk, gdzie nigdy nie stało jeszcze niczyje kopyto” – dźwięczy mi w uszach usłyszane kiedyś zdanie. Zdaje się, że mówił to chyba ktoś z obozu wojskowego, ale kto? Łapie mnie nagły atak nostalgii – tyle twarzy przewinęło się już podczas tej pseudo – wojny...

-No, już sobie odpocząłeś, wstawaj – głos widma wyrывa mnie z zamyślenia.

-W dupę mnie pocałuj, prawie tu przez ciebie zginąłem – odburkuję.

-Widzę, że humor znowu dopisuje?

-Spieprzaj – zaskoczony własną śmiałością składam upiorowi niedwuznaczną propozycję. Widmo prychnęło poirytowane i odchodzi, aby przyjrzeć się dokładniej ubitemu przeze mnie (przez nas!) stworowi. Nagle poraża mnie myśl, jak blisko Equestrii się znajduję, w zasadzie to jestem w jej granicach, przy odrobinie szczęścia mógłbym...

Nie muszę kończyć myśli, aby wiedzieć, że wcale nie mógłbym. Wróciłbym i co dalej? Uznano by mnie za bohatera, Twilight rzuciłaby mi się w ramiona wyznając mi miłość, a Azazel pobłogosławiłby nasz związek? Srali muchy, będzie wiosna. Zbyt dużo już widziałem, żeby wierzyć w coś takiego.

-Jak się toto nazywa? - moje rozmyślenia przerywa głos Gravewalkera. Wstaję, spluwam gęstą flegmą i podchodzę do ducha.

-Terkotnik - mówię krótko.

-Pierwsze słyszę – kwituje widmo.

-Nic dziwnego - wzruszam ramionami – zdziwiłbym się gdybyś słyszał. Bydlaki są rzadkie jak cholera, poza tym nie wydaje mi się, żeby egzystowały w twoich czasach, pomijając już to, że na pewno nie powstały na drodze ewolucji.

-Hmm?

-Ten stwór jest klasyfikowany jako insektoid - wyjaśniam. Gravewalker patrzy na mnie tępym wzrokiem. - No... takie owadopodobne ścierwo. Ten tutaj to chyba stawonóg, czy coś. Nie wiem, nie znam się na tym zbyt wiele. Tak czy inaczej, owady mają to do siebie, że dorastają do takich rozmiarów jak w atmosferze jest przewaga tlenu. To znaczy mogą, ale niekoniecznie muszą. Zagłębia się tutaj w odmęty biologii i systematyki, a więc pozwól, że przestanę tutaj snuć domysły, bo boję się, że coś pokręcę. Wracając, chodzi o to, że kiedy tlen stanowi ponad połowę składu powietrza, bo kiedyś tak właśnie było, to wtedy żyły sobie takie oto... rzeczy - wskazuję na leżące w soczyście, niezdrowo wręcz zielonej trawie truchło. - No, połowę jak połowę, jest pewnie jakaś granica po przekroczeniu, której coś takiego się dzieje. Tyle, że wtedy miało to sens.

-Czyli ktoś je stworzył? - upewnia się widmo.

-Niechybnie przy pomocy magii. Swoją drogą, ciekawe po co? – pytanie zawisa w ciepłym, przesyconym zapachem jesieni powietrzu.

-I gdzie one najczęściej występują?

-A bo ja to niby wiem? Pewnie tutaj. Mówiłem, że bydlaki rzadkie są. I w sumie dobrze, kłopotów by tylko narobiły. Ktoś musiał być mendą pierwszej wody, że mu się zachciało tworzyć coś takiego. I jeszcze rozumiem jakby to było w ramach eksperymentu, czy coś. Ale coś mi mówi, że to było celowe działanie. One potrafią się rozmnażać. Azazel mi opowiadał, że kiedyś Strażnicy na nie polowali, chciano je wszystkie wytłuc, a wtedy to dopiero były okazy, że dwa razy większe od tego tutaj. No i zorganizowano specjalny oddział, coś jak ten Łowców, tyle, że tymczasowy. Mnóstwo tego ścierwa wyrznięli, już myślano, że po wszystkim, aż tu kiedyś ktoś w lesie zobaczył takie małe gnojarze, wypisz, wymaluj Terkotnik, tyle że dużo mniejszy. No i odtąd wiadomo, że się rozmnażają. Cud, że większość młodych ginie prawie od razu, aż strach myśleć co by było jakby chociaż jeden miot się w całości uchwalił. Inni przedstawiciele fauny ograniczają ich populację, ale jak Terkotnik dorośnie, to w zasadzie nie ma już żadnych naturalnych wrogów. A tak to żyją sobie pewnie tutaj, nikt ich nie niepokoi i vice versa.

-No dobrze, starczy gadania, chodźmy już – ponagla mnie widmo.

Las powoli zaczyna się przersedzać, widoczność znacznie się poprawia. Po drodze natykam się na kolejnego Terkotnika, ale stwór chyba wraca właśnie z cokolwiek udanego polowania, bo nie jest mną zainteresowany. Stawonóg terkotcze ostrzegawczo żuwaczkami, po czym czmycha w gęstwinę. Póki co, nie natknąłem się na nic godnego uwagi, chociaż w sumie nie wiem nawet czego się tutaj spodziewać. Wychodzę na niedużą polanę, miejsce wygląda na spokojne, postanawiam więc zafundować sobie mały postój. Siadam, a raczej walę się na trawę, wyciągając ciągnące niemiłosiernie nogi.

-Powiedz mi, nie możemy poszukać reliktów gdzie indziej? Niespecjalnie chce mi się wchodzić w głąb tych terenów. Mało prawdopodobne, żeby...

...ktoś tu jeszcze mieszkał – kończy za mnie upiór.

-Posłuchaj, nie wiem dlaczego wszyscy boją się prawdy o tym miejscu, ale widocznie jest jakiś powód. Legendy nie biorą się znikąd. Jeśli chcesz iść dalej, ja idę z tobą. W zasadzie to nie mam wyboru, jeśli chcę dowiedzieć się więcej o tym co się ze mną... z nami stało. Chcę tylko żebyś wiedział, że możemy już stąd nie wrócić. Na podejściu – Terkotnik. A co będzie, nie przymierzając, na półmetku? – jakby na potwierdzenie moich słów, z oddali dobiega ryk nieznanego drapieżnika. Dźwięk niesie się echem, jestem w stanie łatwo określić kierunek z którego dochodzi. Wstaję, poprawiam miecz na plecach i zagłębiam się w las.

Wszystko jest tutaj zupełnie inne.

Taka właśnie myśl uderza mnie, kiedy idę przez połąć wypalanej puszczy. Cały czas czuć tutaj jeszcze delikatny swąd spalenizny, mimo, że pożar musiał wygasnąć już dawno temu, świadczy o tym odchodząca płatami od kikutów drzew namoknięta na deszczu sadza. Po lewej widzę ruch, sięgam w stronę rękojeści miecza, ale widząc co jest jego źródłem cofam kopyto.

Lis umiera, nie ma co do tego wątpliwości. Z pokrytego parchami boku płatami odłazi skołtuniona sierść, z rozciętej na całej długości tylnej nogi sączy się buro czerwona mieszanka krwi i ropy. Zwierze nie ma jednego oka, w pustym oczodole kłębią się muchy. Co jakiś czas lis potrząsa łbem próbując je odpędzić, ale wtedy owady mocniej wgryzają się w ranę, przez co zwierze wydaje z siebie jęk bólu. Lis jeszcze mnie nie dostrzegł, więc kiedy udaje mi się opanować odruch wymiotny, najciszej jak mogę chowam się za nadpalony pień, czekając aż się oddali.

Gdy w końcu wychodzę spomiędzy spalonych drzew, czuję, jak wzruszenie ściska mnie za gardło. Niby widziałem już gorsze rzeczy, byle spalony las nie powinien wywierać na mnie większego wrażenia, ale... ale jednak. Słońce chowa się już za horyzont, wypadało by znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Nie, inaczej – na przeczekanie nocy. Nie ma mowy o zmrużeniu tutaj oka. Wdrapuję się na rozłożysty buk, moszczę wygodnie między konarami. Z bezpiecznej wysokości obserwuję ostatnie promienie słońca przebijające się zza horyzontu.

-Jak myślisz, co tam jest? – pytam cicho.

-Wkrótce się dowiemy – głos upiora złowieszczo brzmi w nocnym powietrzu. Pięknie. Kolejna wymijająca odpowiedź.

Nad ranem zaczyna siąpić lekki deszczyk, na świat opada kotara mgły. Szczękając zębami z zimna, brnę na przelań przez rzednący z każdym krokiem las. W ogóle nie słysząc tu śpiewu ptaków, i

to wcale nie z powodu deszczu. Po prostu ich tu nie ma. Przez cały czas dręczyło mnie uczucie, że coś tu jest bardzo nie tak, ale dopiero teraz sobie to uświadomiłem. Odkąd przekroczyłem granicę nie uświadczylem ani jednego świergotu, mogącego świadczyć o ich obecności... Grunt robi się grząski, pod kopytami zaczyna mlaskać błoto. To już nie las, powoli wchodzę na zabagnione łęgi. Coś głucho wyje w oddali, ze strachu zaczynają mi drżeć kolana.

-Spokojnie, jeśli coś wyczuję, od razu dam ci znać.

Kiwam tylko głową, starając się nie słyszeć niepewnych nut w głosie Gravewalkera. Kiedy jest koło południa deszcz ustaje, ale mgła nie opada, wręcz przeciwnie, ku mojemu zdziwieniu znad podmokłej ziemi podnosi się jej coraz więcej. Brnę przez gęste kłęby, co jakiś czas omijając stojące mi na drodze niewielkie bajorka. Wyobraźnia płata w takich momentach figle, co chwilę wydaje mi się, że pośród szarawych oparów przemyka jakiś ciemny kształt... ale kiedy się odwracam, widzę tylko nieprzebitą ścianę mgły. Po którymś z ataków paniki spowodowanym moim niewidzialnym prześladowcą nie wytrzymuję i wyciągam miecz.

-Co się dzieje? – głos upiора dudni mi wewnątrz czaszki.

-Tam coś jest. Czy ty nic nie... - urywam, gdy szarobiałe kłęby rozwiewają się, ukazując co naprawdę skrywały.

Utkana jakby z dymu, potężna ciemno czerwona sylwetka unosi się jakieś pół metra nad ziemią. W bladym świetle ukrytego za zasłoną chmur słońca widzę przelewające się strzępy materii z której TO jest zbudowane. Kontury płyną i rozlewają się, nie jestem w stanie określić z czym mam do czynienia. Zjawy ze świstem wciąga powietrze, jakby smakując bijący ze mnie strach. Na gumowych nogach odsuwam się o krok, na próbę, czy istota za mną podąży. Zgodnie z moimi przewidywaniami, zjawy przesuwa się nad dzielącym nas płytkim bajorkiem, roztaczając na wodzie kręgi. Odsuwam się o kolejny krok – istota przesuwa się w moją stronę skracając dystans. Opanowuję drżenie kolan, prostuję się, po czym robię chyba najgłupszą możliwą rzecz.

-Czego chcesz? – pytam drżącym z przerażenia głosem. Cisza. Żadnej odpowiedzi. Nie, żebym się jakiejś spodziewał, ale... Nie udaje mi się dokończyć myśli, bo zjawy nagle rusza w moją stronę. Odskakuję, zasłaniam się mieczem, gotowy na przyjęcie ciosu... ale uderzenie nie następuje. Istota zatrzymuje się jakieś pół metra ode mnie, jestem w stanie dojrzeć stąd jej oczy: dwa punkciki płonące żółcią pośrodku oceanu czerwieni. Uświadamiam sobie, że zjawy robi się coraz wyraźniejsza, jej kontury przestają drgać i falować, przybierając kształt... Rzucam się w bok, ledwo unikając rozcinającej powietrze łapy. Zjawy wydaje z siebie przeciągły wizg, wysyła w moją stronę zakłęcie. Odskakuję, czar trafia w stojącą nieopodal rachityczną olchę, drzewo wybucha deszczem drzazg i próchna. Odbiegam kawalek, zjawy powoli sunie za mną, ostrzegawczo mierzę mieczem przed siebie. Kiedy istota jest już blisko, z całej siły uderzam kopytem w podmokłą ziemię. Jasny, niemalże brutalny błysk światła lekko mnie oślepia, ale efekt został osiągnięty – zjawy odsuwa się wydając rozgniewany ryk.

-Odejdź, a nikomu nie stanie się krzywda! – krzyczę, ale wiem, że już jest za późno. Duch wyczuł świeżą krew i nie zrezygnuje tak łatwo. Zjawy podlatuje bliżej, staje, oddala się jakby prowokując mnie do ataku. Powoli, krok za krokiem, zaczynamy zataczać wokół siebie kręgi, niczym partnerzy w jakiejś odrażającej karykaturze tańca. Serce pompuje czystą adrenalinę, ale nie staram się na siłę zredukować poziomu hormonu; akurat teraz mi się on przyda. Nie atakuję, bo wiem, że ona właśnie na to czeka. Nagle widmo eksploduje falą ciemnoczerwonej, śmierdzącej krwią mgły. Opar otacza mnie, wypycha się do uszu, ust i nosa, nie mogąc zaczerpnąć tchu strzelam upiornym błyskiem; zakłęcie rozrywa na moment kotarę mgły, ale ta zaraz zespala się z powrotem, znów otulając mnie szczelnym kokonem. Widzę przed sobą płonące żółtą nienawiścią oczy, biorę zamach, ale Valannor wypada mi ze słabego kopyta i ląduje gdzieś w błocie. Czuję się jakby ktoś założył mi na głowę worek foliowy, krztuszę się, usilnie próbując zaczerpnąć powietrza, ale zamiast niego wciągam do płuc palącą trzewia czerwoną mgłę. Padam na ziemię, wymiotuję krwią i żółcią, skręcam się z wibrującego mi w czaszce porażającego bólu.

Błysk białego światła rozdziera krwawy obłok, powietrze wypełnia wizg bólu. Kleszcze miażdżące moją głowę puszczają, próbuję wstać, ale z powrotem upadam twarzą w błoto wymieszane z krwią. Czerwona mgła znów wsącza się jadem między zwoje mojego mózgu, jednak kolejny błysk oślepiającej bieli wypala ją doszczętnie, wydaje mi się, że widzę niknącą w oddali sylwetkę koloru krwi. Ktoś chyba przewraca mnie na plecy i coś do mnie mówi, ale nie jestem pewien, wszystko rozmywa się i zlewa w jednolitą masę. A potem ból, lęk i cierpienie nikną pod zbawienną kotarą ciemności.

Płonę. Języki ognia bólu muskają moje ciało, raz po raz wyzwalając nowe fale cierpienia. Co jakiś czas chyba tracę przytomność, bo ból traci na sile; widzę wtedy pojedyncze strzępy wspomnień,

brodzę w resztkach obrazów, myśli i uczuć. Wydaje mi się, że ktoś potrząsa mną starając się przywrócić mi świadomość, ale wszystko przesłania czerwona mgła przelewająca mi się przed oczami, a w uszach dźwięczy mi mój własny krzyk. Ból jest zbyt silny, abym wyczuł igłę wchodzącą mi w ramię, ale jednak ostre ukłucie przebija się przez całun cierpienia, którym mnie okryto. Ułamek sekundy po iniekcji ból ustaje na moment, a potem wraca silniejszy niż kiedykolwiek. Opadam w niebyt.

Pustka ukaja moje torturowane ciało, zsyła względny spokój na kłębowisko żmij w moim umyśle. Udać mi się wstać. Wystarczy mi jedno spojrzenie na stojącego tuż obok Gravewalkera i wiem już po co tu jesteśmy.

-Nie proszę cię o wybaczenie. Chcę tylko abyś posłuchał – upiór milknie. Nie ponaglam go, obaj mamy czas. - Chyba nie muszę ci mówić, że to nie twoja wina.

-Ależ oczywiście – odpowiadam spokojnie. W środku cały gotuję się ze złości.

-A więc pozwól, że...

-Gówno! Pieprzony, arogancki, narcystyczny skurwysyn! Rzygać mi się... - zakłęcie uderza mnie wpół słowa, wylatuje na dwa metry w górę, w szczytowym punkcie lotu jestem w stanie zobaczyć poirytowaną twarz Gravewalkera, po czym z głuchym łoskotem uderzam w ziemię. Pustka amortyzuje uderzenie, które w normalnych warunkach pewnie połamałoby mi żebra, a tak kończy się tylko na bólu, i to w dodatku fantomowym.

-Tak, to by starczyło... jak już przestaniesz się zachowywać jak skończony idiota, to pozwól, że wytłumaczę – po poczuciu winy, które przed momentem widziałem w oczach widma nie został nawet ślad.

-Jasne – odburkuję, gramoląc się na kopyta.

-Odkąd klątwa nas połączyła, nie jesz, nie pijesz, ledwo co spałeś, nie potrzebujesz żadnego źródła ciepła. Obaj wiemy, że to ognisko parę dni temu było bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. A teraz powiedz mi, co dzieje się z kucykami, które czerpią energię i moc magiczną ze świata duchów.

-Ich ciała słabną, by z czasem samemu stać się duchami. Martwymi za życia – odpowiadam zaintrygowany.

-W rzeczy samej. A więc... - urywa upiór patrząc na mnie wyczekująco. Przez chwilę patrzę na niego błędnym wzrokiem, po czym mówię niepewnie: -Czyli że my... że ja... ja stanę się...

-Ach, nie! Nie o to chodzi. Źle zacząłem tłumaczyć. Porażka na bagnach uświadomiła mi, że nie możesz być całkowicie zależny od mojej mocy. Owszem, mogę bez konsekwencji wzmacniać siłę twoich zaklęć, ale nic ponad to. Przyspieszony metabolizm, krótszy czas reakcji, to wszystko nie pozostawiałoby skutków ubocznych, gdybyś nie wykorzystywał mojej energii do utrzymywania przemian biochemicznych w twoim ciele. Tak jak mówiłeś, czerpanie jej ze świata duchów deprawuje organizm – w skrócie: musisz wrócić do normalnego trybu życia. Przynajmniej do czasu, aż ja się zregeneruję. Potem zobaczymy. Na razie istotne jest to, jak bardzo uszkodzone jest twoje ciało. Pora wracać.

-Zaraz, nie! Jeszcze chwila. Czym było to coś na bagnach?

-Coś? To chyba niezbyt dobre określenie na tę zjawę.

-Zjawę? – pytam zdziwiony.

-Tak. Właśnie dlatego nie byłem w stanie jej wyczuć. To nie było martwe... ale żywe też nie. Jedno wiem jednak bez wątplenia: jakaś wielka siła odcisnęła na nim swoje piętno. Dobrze byłoby ustalić ją. Jesteśmy tu już zbyt długo, jesteś gotów?

-Nie – kręcę głową.

-A więc ruszamy – ostatnie słowa Gravewalkera zlewają się z narastającym z oddali szumem.

Ból wraca niepostrzeżenie, jak błąd z przeszłości, którego skutki ujawniają się w najmniej odpowiednim ku temu momencie. Rozklejam powieki, obraz rozmywa się i faluje, nie jestem w stanie rozróżnić konturów otoczenia. Głowa rwie ostrym, przenikliwym bólem, czuję klucie w sercu. Próbuję się podnieść – przednie nogi funkcjonują bez zarzutu, prawa tylnia też, ale ostatniej nie jestem w stanie podnieść. Nagle czuję kopyto posyłające mnie z powrotem na posłanie.

-Spokojnie, na razie nie wstawaj. Widzisz cokolwiek? – mówi ktoś łagodnie, ale stanowczo.

-Ledwo – chrypię przez wyschnięte na wiór gardło.

-Hmm... w porządku. Teraz troszkę cię zaboli.

Igła wbija mi się w nogę, czuję wciskany tłoczek strzykawki, przez moment nie dzieje się nic. A potem wstrząsa mną spazm bólu wyciskającego mi łzy z oczu, z mojego gardła dobywa się krzyk... a

wtedy wszystko ustaje. Głowa przestaje świdrować cierpieniem, klucie w sercu ustaje. Obraz przed oczami wierzga po raz ostatni, po czym stabilizuje się i wyostrza.

-Miało boleć... tylko kurwa... troszeczkę – dyszę ciężko.

-Daj spokój, duży już jesteś – odwracam głowę w stronę, z której usłyszałem ironiczny komentarz. Obok mnie stoi, uśmiechając się krzywo, stworzenie, którego nijak nie jestem w stanie rozpoznać. Głowa, nogi, ogólnie całe ciało wskazywałoby na kucyka, a konkretnie jednorożca, ale spory fragment jego twarzy jest pokryty... łuskami? Przenoszę wzrok niżej – łuskowate pasmo ciągnie się przez białe ciało kucyka, całkowicie pokrywając jedną z przednich nóg, aby skończyć się tuż obok znaczka, przedstawiającego oplecioną bluszczem strzykawkę. SkoŹtuniona, bura grzywa przywodzi na myśl bezdomnego. Jednorożec spostrzega mój błędny wzrok i zanosi się nerwowym chichotem.

-Eee... no tak... no nie gap się na mnie w ten sposób! Sam lepiej nie wyglądałeś dwa dni temu! – oburza się nagle.

-Dwa dni temu... - wypowiedź przerywa mi nagły atak kaszlu – Wody... - chrypię.

Jednorożec lewituje w moją stronę pękatą butelkę, opróżniwszy połowę, mówi: -Dwa dni?

-Eee... no tak. Dwa dni temu wyrwałem cię z paszczy śmierci – jednorożec cały promienieje z dumy.

-Jakby było się z czego cieszyć – odburkuję po opróżnieniu butelki z reszty jej zawartości.

-A idź ty! Mów mi lepiej, jak noga!

Próbuję ruszyć rzeczoną kończyną, piszczel nie jest z tego specjalnie zadowolony, bo odzywa się ostrym bólem. Nie zważając na jego wcale nie bezpodstawne fochy, podnoszę nogę znad posłania i krzywiąc się z bólu, zginam ją parę razy w kolanie.

-Ledwo, ledwo... - syczę przez zęby.

-A czego się spodziewałeś? Mgielnik cię nieźle przypiekl.

-Mgielnik? – pytam opadając z powrotem na posłanie.

-Ach... no tak, przecież ty chyba nic nie wiesz. Jakbyś wiedział, to nie pchałbyś się przez Czarne Trzęsawiska. Mgielnik to... takie coś. Duch chyba. Na bagnach bydle siedzi, jak się kto tam zapuści, to on go cap! I nie ma. Ta mgła, z której jest zbudowany jest żrąca w pierony, szczęście miałeś, że ci tej nogi całkiem nie spalił. Ty modyfikant jesteś, nie?

-Kto?

-No, modyfikant! Ach! Czy ci magią w geny ingerowali, się pytam! Musieli, bo nie dość, że przeżyłeś, to jeszcze rany ci się wygoili w dobrę.

-Nie. Nie wiem. Może – coś (a raczej bardzo konkretny ktoś) mi mówi, aby na razie nie odkrywać wszystkich kart przed moim wybawcą.

Jednorożec przygląda mi się uważnie, po czym gwałtownie kręci głową.

-Cokolwiek ukrywasz, musisz mieć ku temu powód. Dobrze, dość leżenia, wstawaj, powinieneś coś zjeść.

Asekurowany przez kucyka, udaje mi się stanąć na kopyta. Noga ciągnie niemiłosiernie, ale jakoś dam radę. W sumie to nie mam wyboru.

-Powiedz mi, North, ty którąś szedł, że miasta nie widział?

Podnoszę głowę znad rozłożonej na stole mapy i spoglądam na przypatrującego mi się uważnie jednorożca.

-Jakoś tak samo wyszło. Musiałem zboczyć z kursu i pewnie dlatego je ominąłem – klamię bez zająknięcia. Minęło już parę dni, a Moribund Ivy (bo tak nazywa się mój wybawiciel) nadal nie chce mi uwierzyć, że przyszedłem od strony podmieńców. Trzymam się więc fałszywej wersji, jakobym miał przejść prawie osiemdziesiąt kilometrów i włądować się na Czarne Trzęsawiska.

Moribund Ivy. Twierdzi, że ukończył Equestriańską Akademię Medyczną z tytułem doktora genetyki. Jest to dość prawdopodobne, zważywszy na wiszący na ścianie w honorowym miejscu lekko nadpalony dyplom ukończenia studiów. Pytany o swój dość specyficzny wygląd odpowiada słowami „Nikt nie jest idealny”. Nie chce mi powiedzieć, jak i dlaczego się tutaj znalazł, twierdzi, że i tak za dużo mi już o sobie powiedział.

-I czego ty tu szukasz na tej mapie? Cały dzień nad nią ślęczysz – Moribund przysiadła się obok mnie.

-Warowni, baszt, twierdz, wszystkiego nie z tej epoki – odpowiadam nie odrywając wzroku od poŹółkłej powierzchni mapy.

-Znalazł się, cholera, archeolog, zabytków mi będzie szukał na mojej osobistej mapie. Ty mi lepiej mów jak ta twoja noga!

Pytanie o nogę pada chyba dzisiaj po raz dziesiąty. Zaciskam mocno powieki, potrząsam głową, liczę powoli do dziesięciu, po czym przemawiam siląc się na spokojny ton: -Mój drogi panie... po raz pierdylionowy powtarzam, że noga bez zmian. Rwie, kurcze ją łapią co jakiś czas, ale jakoś działa. Nie ma żadnej, podkreślam, żadnej potrzeby, aby co chwilę o to pytać – jestem z siebie dumny, udało mi się opanować atak złości. Jakby jeszcze to cokolwiek zmieniało.

-Niepokoi mnie ona. Dostałeś ten taki fikuśny wojskowy dopalacz przyspieszający regenerację tkanek. Bydle ci nogę jakoś upośledziło, czy coś... Ciekawi mnie tylko jak...

-Jak – srak. Moja noga, moja sprawa. Poboli i przestanie – odpowiadam rozdrażniony. Moribund prycha pogardliwie – Znalazł się, łaskę mi będzie robił... Dobra, dupa tam, nieznosny się robisz, więc chyba jesteś już gotów aby wyjść na zewnątrz – wzdycha ciężko.

Nareszcie. Pięć dni. Pięć pieprzonych dni spędzonych w śmierdzącej stęchlizną i podłym bimbrem norze razem z na wpół obłąkanym, irytującym swoją nadopiekuńczością mutantem. Oszaleć można.

Ubieram skórzany kaftan w kolorze zgniłej zieleni, na plecach mocuję pochwę z mieczem. Kiwam głową Moribundowi, jednorożec popycha drzwi prowadzące na zewnątrz. Wieje, naciągam więc kaptur i spoglądam na Moribunda. Jednorożec rzuca na drzwi zakłęcie, wejście do wrośniętej we wzgórze kryjówki znika za ścianą trawy, ziemi oraz powoju.

-Gotowyś? – pyta myśląc pewnie, że się rozmyśliłem. Skinięciem głowy unicestwiam jego nadzieję.

-Słuchaj teraz, młody. Idziemy bliżej miasta, mianowicie do większej kryjówki na północ stąd. Trasa którą będziemy iść ma aż 20 kilometrów, bo trzeba jakoś ominąć Trzęsawiska. Marszruta jest w miarę bezpieczna, ale musimy być czujni. Tutaj nie ma nic pewnego. Od teraz wykonujesz wszystkie moje polecenia, jak każę skakać, to ty już w biegu pytasz się, jak wysoko, zrozumiano? Na miejscu spotkamy się z chłopakami i zaplanujemy wypad do miasta. Myśleliśmy o tym od dawna, a teraz nadarza się ku temu świetna okazja.

-Czyli nie jesteś sam? Są inni? – pytam zdziwiony.

-A i owszem. Zdziwiłbyś się jacy – jednorożec uśmiecha się do swoich myśli – No, dość gadania. W drogę.

Intrygująca wydaje się zmiana zachowania Moribunda. Po opuszczeniu kryjówki z niefrasobliwego, na wpół szalonego pustelnika zmienił się w rzeczowego, oszczędnego w ruchach i mowie dowódcę. Idziemy.

Jednorożec co jakiś czas przystaje, wodzi głową dokoła, porusza nozdrzami, jakby węsząc, po czym uspokaja się i skinieniem głowy zapewnia mnie, że jest czysto. Taki rytuał może wydawać się dziwny, ale ten kuc musi mieszkać tu od dawna, a więc chyba wie co robi. Wychodzimy na dawną drogę gruntową, ledwo już widoczną spod całunu młodych krzewów i drzewek. Dawne rowy melioracyjne diametralnie zmieniły swój kształt, zwiększając swoją powierzchnię i wcinając się w drogę, kluczymy więc pomiędzy małymi sierpowatymi bajorkami przystając co jakiś czas i nasłuchując. Słyszając odległy terkot, łapię nerwowo za rękojeść miecza, ale Moribund odsuwa moje kopyto, kręcąc z dezaprobatą głową.

-Spokojnie. Daleko jest, poza tym nas jest dwóch, wywinęlibyśmy się.

Dyskretnie, tak aby Moribund nie zauważył, skanuję otoczenie mocą upiora. Wyczuwam Terkotnika jakieś pół kilometra od nas, stwór porusza się w przeciwnym do naszego kierunku. Dobrze.

Mijamy dziwny odcinek drogi gruntowej, i po około pół godzinie marszu Moribund decyduje się na postój. Znajdujemy odpowiednie drzewo, podszam Moribunda, i po chwili oboje siedzimy na grubym konarze, na względnie bezpiecznej wysokości. Jednorożec wyciąga w moją stronę jednorazową ampułkostrzykawkę – no tak, nadopiekuńczości ciąg dalszy. Krzywiąc się, wkłuwam sobie w kontuzjowaną nogę dawkę leku, patrzę jak mięśnie na kończynie napinają się mimowolnie, po czym wiotczeją. Lek nie robi nodze żadnej różnicy, ale Moribund uparł się, że muszę robić sobie dwa zastrzyki dziennie. Odpoczywamy jeszcze przez moment, po czym schodzimy na ziemię i znów ruszam za Moribundem.

Trup leży na środku drogi. Rozpruty brzuch i poniewierające się dokoła wnętrzności jednoznacznie wskazują przyczynę śmierci. Truchło podmieńca jest częściowo zachłapane zakrzepłą hemolimfą, biedak widocznie zdążył jeszcze ranić Terkotnika, nim ten wypruł mu flaki. Omijamy ciało szerokim łukiem, ale paręnaście metrów dalej leży kolejne. A dalej następne. I jeszcze jedno. W sumie udaje mi się naliczyć sześć trupów. Wszystkie noszą ślady żuwaczek leśnego stawonoga. Oddział musiał przybyć tutaj rano, akurat w porze żerowania Terkotników i natknął się na głodnego, a przez co

rozdrażnionego insektoida. Sześć trupów, plus jeden, którego musiał zeżreć stawonóg... siedmiu, nie ma co, musieli mieć jakieś ważne zadanie. Tylko czego mieliby tu szukać podmieńcy?

-Miasto rzeczywiście musiało im zapachnieć, trzeci oddział w tym miesiącu... - mówi cicho Moribund.

-Co?! Podmieńce infiltrują te tereny? - nie dowierzam własnym uszom.

-Stale - Moribund patrzy na mnie z konsternacją - Chcą się dorwać do tego nad czym pracowali Equestriańscy naukowcy w laboratoriach pod miastem. Martwi mnie tylko ich coraz większe tym zainteresowanie... Dobra, rusz dupę, już niedaleko, głupio by było dać się zjeść tuż przed metą.

Zostawiamy za sobą miejsce potyczki i zagłębiamy się w las. Namokła ziemia nieprzyjemnie mlaszcze pod kopytami, poza tym jest tutaj zdecydowanie zimniej niż na gruntówce, przyspieszamy więc kroku, aby jak najszybciej dotrzeć do celu.

W oddali, między drzewami udaje mi się dojrzyć błysk światła. Rozjarza się na moment i gaśnie. Pojawia się znowu, tym razem jakby dalej. Zatrzymuje się, mrużąc oczy staram się wypatrzyć źródło światła w oddali. Błysk to oddala się, to zbliża, to świeci jaśniej, to znów blaknie. Zerkam na Moribunda, jednorożec również wyęcza wzrok starając się dojrzyć cokolwiek w półmroku puszczy.

-Na ziemię! Już! - mówi nagle nieswoim głosem. Padam na ziemię i śladem Moribunda przeczołguję się do pobliskiego parowu.

-Co się...

-Pysk! I ani drgnij! - nakazuje mi Moribund zatrwożonym szeptem. Jednorożec podnosi się lekko, ale zaraz przypada z powrotem do ziemi, klnąc pod nosem. Wiedziony na wpół strachem, na wpół ciekawością, spoglądam „wzrokiem” upiora. Oprócz skulonego obok mnie Moribunda, nie wyczuwam żadnej żywej istoty, chociaż... nie, czuję coś bardzo niewyraźnego, ale jednak... Wysyłam kolejny impuls badawczy, tym razem nie trafia on jednak na nic. Kolejny wychwytuje jednak ślad czegoś żywego, znacznie bliżej niż ostatnio. W takich chwilach sekundy rozciągają się w nieskończoność, czuje się przemożną chęć ucieczki gdzie pieprz rośnie, ale z drugiej strony ma się też świadomość, że każdy kolejny ruch może być tym ostatnim. Leżę tak, cały złany potem, słyszę, jak Moribund powoli, centymetr po centymetrze, zaczyna przesuwac się w stronę leżącego nieopodal głazu. Ponownie sonduję teren, nie wyczuwam nic, ruszam więc w ślimaczym tempie śladem jednorożca. Przystaję wpół drogi, wysyłam jeszcze jeden impuls, od razu tego żałując. Wyczuwam coś, jakieś dziesięć metrów obok naszej kryjówki. Ślad co chwilę rozmywa się i traci na sile, by po chwili z powrotem zaświadczyć o swoim istnieniu, zupełnie jakby...

Podrywam się i strzelam upiornym błyskiem. Raz, drugi, trzeci! Widzę ruch po lewej - szlag, bydlak musiał się uchylić! Valannor z sykiem wysuwa się z pochwy, tnę na oślep, rzucam się w bok, przetaczam za kamień na który zaraz potem spada potężne uderzenie. Wyskakuję zza osłony i rzucam zaklęcie burzące. Czar uderza obok potwora, wzniecając gejzer ziemi i kamyków. Na moment czas zwalnia, dając mi możliwość przyjrzenia się napastnikowi.

Z głowy przypomina nieco gryfa, ale na tym podobieństwa się kończą. Przekrwione oczy z pionowymi źrenicami raz po raz błyskają jasnością; to właśnie tak próbował nas do siebie zwabić. Z krępego tułowia osadzonego na zakończonych szponami łapach wyrastają skórzaste skrzydła, ogon zakończony kolcem jadowym jak u gigantycznego skorpiona przywodzi na myśl mantykorę, ale to też tylko pozory. Granitowa skóra ciasno opina się na węzłach mięśni jak liny okrętowe.

Nie jest mi dane przyglądać się dłużej, bo potwór rzuca się na mnie rozwierając dziób. Rzucam się szczupakiem za najbliższe drzewo, turlam się w bok, podrywam się, w ostatnim momencie unikając łapy potwora. Tnę z doskoku, ostrze rozcina skórę, ale nie tryska z niej krew, jak gdyby stworzenie jej nie miało. Wizg wściekłości przeszywa powietrze, gdy potwór rzuca się na mnie, rozwierając szpony jak noże rzeźnicze. Podrywam miecz, uderzam w przednie łapy, stwór natychmiastowo zmienia kierunek lotu, lądując tam, gdzie już czeka na niego Moribund. Jednorożec doskakuje do potwora i wbija mu sztylet w kark. Stwór ryczy wściekle i próbuje zatopić dziób w ciele Moribunda, ale ten odskakuje, przez co dziób potwora klinuje się w pniu młodej sosny.

Wyczuwając szansę, podbiegam od tyłu do stworzenia, wskakuję mu na grzbiet i wraziwszy ostrze Valannora obok sztyletu Moribunda, rzucam upiorny błysk. Miecz przewodzi zaklęcie, które rozładowuje swoją energię wewnątrz ciała potwora. Czar przeszywa tkanki potwora, udaje mi się jeszcze dojrzyć - co za absurd! - zygzak pęknięcia przemierzający grzbiet istoty, po czym siła eksplozji wysyła mnie w powietrze.

Częściowo udaje mi się zamortyzować upadek, ale i tak uderzenie o ziemię wypiera mi powietrze z płuc, poza tym boleśnie obijam sobie żebra. Ciągle na bezdechu, gramolę się na nogi, nastawiony na dalszą walkę, ale na pierwszy rzut oka widać, że jest już po wszystkim. W miejscu gdzie potraktowałem napastnika zaklęciem, na ziemi leży... popiół? Tak, spory kopczyk czegoś na kształt

czarnego jak noc popiołu. Substancja zdaje się absorbować całe światło z otoczenia, tworząc wrażenie bezdennej otchłani.

-Nieżyś, kurwa... - Moribund dyszy ciężko, ale w jego głosie słyszę podziw. -Nie możesz być regularnym żołnierzem, pałacowym gwardzistą też nie, oni by się tutaj nie zapuścili. Kim więc jesteś... Strażniku?

Wzdrygam się, słysząc pytanie, którego miałem nadzieję uniknąć.

-Może jestem, może nie jestem W tej chwili to nieistotne - odpowiadam wymijająco. -Co to było? Moribund opiera się o drzewo i wzdycha ciężko. -Coś czego nie powinno tutaj być. Słyszałem o nich od znajomego, mówił, że żyją tylko na północ od miasta, w Cienistych Wąwozach. Jak widać, mylił się. To niedobrze. I tak mamy tu przewalone z lokalną fauną, tylko tego nam brakowało. Dobra, niebezpiecznie tutaj sterczeć, jeśli był jeden, to może być i więcej, ruszajmy się.

Opuszczamy feralne miejsce i po chwili marszu na przełaj przez las wychodzimy na pierwsze zabudowania obiektu wojskowego. Budka kontrolera straszy brakiem frontowej ściany, w środku szczyrzy zęby czyjś szkielet, dalej widać rzędy baraków i trzypiętrowy budynek, kiedyś pewnie administracyjny, teraz zmieniony nie do poznania. Ktoś zadał sobie niemało trudu, aby zabić wszystkie okna arkuszami blachy, pozawalać wszelkim śmieciem dwa z trzech wejść, a wszystko to otoczyć wysokim na pół metra wałem obronnym. Jedynym wejściem zdaje się być wąska wyrwa w nabitym ostrymi palami wale.

-Poczekaj tu, ja załatwię nam wejście - mówi Moribund, po czym rusza powoli w stronę forticy.

Pierwsza strzała wbija się w ziemię parę centymetrów od kopyt jednorożca, ten przystaje na moment, ale znów zaczyna iść w stronę budynku. Druga strzała miała chyba trafić we mnie, ale w porę odskakuję i chowam się za jednym z baraków. Spoglądam wzrokiem upióra, widzę, a raczej wyczuwam siedem sylwetek wewnątrz budynku.

-Ogarnij się, idioto jeden, bo kopyta z dupy powyrywam! - krzyczy rozzłoszczony Moribund. -Swoi idą, nie poznajesz mnie?

Po chwili ciszy, z dachu twierdzy da się słyszeć zalękniony głos: -Moribund? To ty?

-Nie, księżniczka Celestia. Przysłałam tu, abyś spłodził ze mną następcę tronu, szlachetny rycerzu.

-Dobra, nie wygłupiaj się. A ten drugi to kto?

-Nie twoja sprawa. Złaz na dół, albo wyślij kogoś żeby drzwi otworzył! - drze się jednorożec.

-Ja? - słysząc niepewne pytanie.

-Nie kurwa, ja. Przestań udawać idiotę, którym jesteś, i złaz na dół.

Wystawiając głowę zza baraku, widzę jak z dachu zlatuje drobny kształt i ląduje obok Moribunda. Wychodzę zza wątpliwej jakości osłony i widzę, jak jednorożec szarpie za poły kaftana drobnego, wystraszonego pegaza.

-Strzelać się z kuszy zachciało, tak, tak. W dupe se strzel! Kto cię na warcie ustawił, gadaj mi zaraz!

-Si-siwy - jąka się pegaz. Moribund puszcza go, gwałtownie potrząsa głową.

-Dobra, dobra, już, spokojnie... Eh... Już mi przeszło. Co nie zmienia faktu, że jesteś idiotą. North, chodź tutaj, poznajcie się.

Podchodzę do trzęsącego się ze strachu przed Moribundem pegaza, wyciągam kopyto na powitanie. Pegaz niepewnie podaje mi swoje. Ma jasno żółtą grzywę, ściętą na krótko - pewnie zamarzył mu się wygląd żołnierza. Jego pomarańczowa sierść wydaje się lekko połyskiwać w świetle zachodzącego słońca. Jego znaczek przedstawia naciągniętą kuszę na tle chmury burzowej.

-North Wolf - przedstawiam się.

-Thunderbolt - odpowiada siłąc się na spokój. Głos ma łagodny, niemalże dziewczęcy.

-Ruszać się, słońce zachodzi - ponagla Moribund.

Przeciskamy się przez wyłom w wale, Thunderbolt wlatuje na dach, objąć z powrotem posterunek. Moribund podchodzi do jedynych niezasypanych drzwi, puka, a raczej wali z całej siły w ich powierzchnię. Po chwili okute metalem wrota otwierają się. W progu staje niski, siwy jak gołąbek kuc ziemski koloru ciemno turkusowego.

-Siwy - mówi krótko Moribund.

-Moribund - odpowiada równie krótko Siwy.

-Tak? - pyta ten niepewnie.

-Miałeś być dwa dni temu.

-Ale jestem dzisiaj.

-Ale miałeś być dwa dni temu.

-A ty stawileś Thunderbolta na warcie. Prawie mi łba nie odstrzelił. Jak widać każdy ma coś na sumieniu.

-Nie zmieniaj tematu. To przez tego młokosa? – wskazuje na mnie z pogardą w oczach.

-Tylko nie młokosa. Na Gargulca się natknęliśmy, w pojedynkę bydlaka załatwił. No, z moją małą pomocą.

-A skąd ty tutaj Gargulca wytrzasnąłeś? - oczy kuca rozszerzają się ze zdziwienia.

-Sam chciałbym wiedzieć. Wpuścisz nas?

-Dobra, włączcie. Na opowieści będzie czas później – kuc ustępuje nam miejsca w drzwiach. Żelazne wrota zatraskują się za nami. Wychodzimy na piętro. Siwy prowadzi nas korytarzem zastawionym wszelkiego rodzaju rupieciami, dochodzimy do drzwi, zza których słychać przytłumioną rozmowę. Siwy naciska na klamkę.

-...laboratoriów naliczyłem sześć. Dwa w mieście i cztery w strefach przygranicznych. Raporty są w miarę wiarygodne, a więc możemy to wziąć za pewnik... - gdy wchodzimy do pomieszczenia, rozmowa urywa się. Przy stole na środku pokoju siedzą trzy kucyki: dwa pegazy i jednorożec.

-W końcu. Gdzieś tyle był, Moribund? – od stołu wstaje jeden z pegazów i podchodzi do nas. Spostrzegłszy mnie, mówi: –A ciebie, kolego, pierwszy raz na oczy widzę. Noga mnie wołają – wyciąga do mnie kopyto. Z trudem udaje mi się nie parsknąć śmiechem.

-North Wolf. A dlaczego Noga? – pytam zaciekawiony.

-Bo z niego noga do kobiet – wybucha śmiechem drugi z pegazów.

-Zamknij się, dekle jeden! Chcę zrobić dobre pierwsze wrażenie – cedzi Noga do swojego kolegi. Patrzę na Moribunda – mój kompan zakrywa twarz kopytem. Kiedy podchodzimy do stołu przywitać się z resztą, jednorożec nagle podrywa się z krzesła z obłędem w oczach.

-Jak... kurwa... przecież ty nie żyjesz!

-Słucham? – nie dowierzam własnym uszom.

-Noga, dawaj tę gazetę, cośmy ją z zaopatrzeniem ostatnio dostali! – ponagla swojego towarzysza jednorożec.

Noga, niemniej ode mnie zdziwiony, podchodzi do sterty makulatury w rogu, grzebie w niej chwilę, po czym zamiera.

-No dawaj, cholera! – niecierpliwi się jednorożec. Noga odwraca się, na jego twarzy maluje się niedowierzanie.

-J-jak? – udaje mu się wykrztusić. Przede mną ląduje lekko nadpalona, wyświechtana gazeta. Spoglądam na nagłówek: „Podmieńczy akt bestialstwa!” – zdaje się krzyczeć mi w twarz tytuł. Poniżej widnieją kolejno zdjęcia: Flame, Lightbringer, Midnight i... I ja.

Spoglądam na pięć wpatrujących się we mnie z mieszaniną grozy i zdziwienia twarzy. „Nie uwierz ci” – słyszę w głowie głos Gravewalkera. „Niemniej jednak, spróbuję” – odpowiadam mu w myślach. Spoglądam po zgromadzonych w pokoju kucykach, biorę głęboki oddech. Zaczynam mówić.